

FRANCIS MARION CRAWFORD

F. MARION CRAWFORD

Mafia to sycylijski charakter
- sycylijski honor,
sycylijskie zasady.
To idea, a nie instytucja.

CORLEONE

HOID.PL

TRYLOGIA tom II
CORLEONE
OPOWIEŚĆ O SYCYLII
1898

MAFIA, SYCYLIA, RZYM, KONFLIKT, MIŁOŚĆ, ZAZDROŚĆ, POZYCJA,
ZEMSTA, MEZALIANS, KONIE, WINCHESTERY, WIDOKI, AMERYKAŃSKI SEN...
A WSZYSTKO TO ZANIM MARIO PUZO W OGÓLE PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT!

F. Marion Crawford
CORLEONE: Opowieść o Sycylii
Tom II

Tytuł oryginalny: Corleone: A Tale of Sicily

Autor: Francis Marion Crawford

Data oryginalnego wydania: 1898

Research i opracowanie tekstu: Wydawnictwo Horyzont Idei

Przekład i redakcja: Damian Tarkowski, Adrianna Krawczyk

© Polskie Wydawnictwa Niezależne, Damian Tarkowski,

Wydawnictwo Horyzont Idei, 2022

Wydanie pierwsze, Toruń 2022

ISBN: 978-83-65185-40-2

Dziękujemy za zakup oryginalnego e-booka!

Nasz adres internetowy:

www.hoid.pl; www.sklep.hoid.pl;

Facebook:

[www.facebook.pl/HORYZONTIDEI](https://www.facebook.com/HORYZONTIDEI)

E-mail: kontakt@hoid.pl; damtar@hoid.pl

Tel: (+48) 723 761 373

NIP: 9562251232

mBank: 34 1140 2004 0000 3702 7847 3507

Wesprzyj naszą działalność, zakupując książki, e-booki
i audiobooki Wydawnictwa Horyzont Idei dostępne na naszej
stronie internetowej: www.sklep.hoid.pl oraz u naszych
partnerów na platformach:

ibuk.pl; ebookpoint.pl; virtualo.pl; publico.pl; woblink.com;
legimi.pl; empikGO, audioteka.pl, storytel.pl, nieznany.pl, i in.

Współpracujemy także z autorami oryginalnych tekstów w języku polskim
oraz z innymi wydawnictwami w zakresie udostępniania licencji oraz praw
autorskich do nagrań audio lub wydawnictw drukowanych.

SPIS TREŚCI:

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

ROZDZIAŁ XX

ROZDZIAŁ XXI

ROZDZIAŁ XXII

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ XXIV

ROZDZIAŁ XXV

ROZDZIAŁ XXVI

ROZDZIAŁ XXVII

ROZDZIAŁ XII

Jak można było się spodziewać, biorąc pod uwagę podjęte środki ostrożności, w ciągu nocy przyjaciele Ferdinanda Pa-gliuci nie podjęli żadnych działań. Karabinierzy, gdziekolwiek się pojawiają, wzbudzają respekt, choć zapomina się o ich istnieniu natychmiast, gdy tylko zmuszeni są ruszyć dalej.

Orsino umościł się na zakurczonym materacu w pokoju, który wybrał. Zszedł z powrotem na dwór, gdzie San Giacinto jadł kolację z zaimprovizowanej kuchni polowej, przy świetle ognia z chrustu i skrawków połamanego drewna, od czasu do czasu uzupełnianego przez któregoś z mężczyzn. Orsino jednak nie był głodny i wkrótce wrócił na górę. W środku nocy, San Giacinto, niosąc latarnię, otworzył drzwi i zastał go czytającego przy świetle samotnej świecy.

– Czy po tej stronie było cicho? – zapytał rosły mężczyzna.

Orsino odpowiedział, że wszystko jest w porządku.

San Giacinto skinął głową, zamknął drzwi i wyszedł, wiedząc, że młody człowiek wolałby pozostać sam. Godzinę później książka Orsina wypadła mu z ręki, a on sam drzemał, lekkim, urywanym snem. Na dworze słabnący księżyc wzniósł się wysoko ponad ramionami Etny, nic nie zakłócało ciszy prócz pomruku wody dochodzącego miarowo z drugiej strony starego klasztoru. Orsino miał dziwne, bezkształtne sny o rozległym pustkowiu i pustej ciemności, w której nie był w stanie niczego spostrzec wzrokiem, a słyszał tylko nieprzerwany szum wody w oddali. Potem, w skrajnej czerni nicości, ukazywała się martwa twarz, z szerokimi i niewidzącymi oczami, które wpatrywały się w niego, a on budził się i przewracał na bok z dreszczem, by znów zasnąć, znowu śnić i znów się obudzić. To była straszna noc.

Nad ranem sen się zmienił. W mroku, wraz z pogłosem potoku, dobiegł go niski, przeciągły lament. Był to głos Vittorii, a jednak niepodobny do jej prawdziwego głosu. Słyszał słowa:

– *Me l'hanno ammazzato! Me l'hanno ammazzato!* (Zabili mi go, zabili! – przyp. red.)

To Vittoria d'Oriani płakała nad ciałem swojego brata. Orsino wyraźnie słyszał te słowa i głos. Stała przed jego drzwiami. Wlokła zwłoki z kościoła w ciemnościach, całą tę długą, krętą drogę, aby przynieść je do niego, czynić mu wyrzuty i płakać nad nimi. Nie pozwolił na zbudzenie się, jak to czasem bywa we śnie, bo wiedział, że nie do końca śni. Była jakaś cząstka rzeczywistości w dwóch dźwiękach: rzeki i głosu Vittorii, przenikających się wzajemnie, choć głos pojawiał się nieregularnie, powtarzając zawsze te same słowa, a rzeka szumiała bez przerwy. Potem były to już tylko jęki bez słów, a następnie znowu zaczynała mówić, zawsze to samo.

Orsino w końcu przebudziwszy się, usiadł. Był pewien, że się obudził, bo widział, że światło za oknem już szarzeje. Świt zaczynał spijać z powietrza światło księżyca. Usłyszał wyraźnie głos.

– *Me l'hanno ammazzato!* – Coś jakby jęknęło, ale znacznie ciszej niż słyszał to we śnie. „Zabili mi go” – takie było znaczenie tych słów.

Orsino podniósł się z łóżka i otworzył drzwi, znajdujące się naprzeciwko okna. Długi korytarz był ciemny i cichy. Odwrócił się, otworzył skrzydło okna i wyjrzał.

Na wpeł wypowiedziane słowa powtórzyły się, ale gdy uchylił okno, nagle ustały. Na tle mrocznego, szarego świtu zobaczył stłumioną postać, kucającą na kamieniach przy bramie, powoli kołyszącą się do przodu i do tyłu. Znowu zaczęło się zawodzenie, bardzo delikatne i ciche, jakby kobieta poniekąd obawiała się, że zostanie usłyszana, a jednak nie mogła się opanować.

Orsino przez kilka chwil uważnie się jej przyglądał, a potem zrozumiał. Była to jakaś kobieta, która kochała Ferdinanda Pagliucę i, zgodnie ze starą tradycją, przyszła opłakiwać drzwi domu, w którym leżał zmarły. Jej głowa była okryta czarną chustą, suknia też była czarna, ale ręce miała złożone na kolanach, wyraźne się odcinające, białe w blasku świtu.

Młody człowiek cofnął się miękko od okna i usiadł na brzegu łóżka. On jeden, ze wszystkich ludzi, nie miał prawa uciszać tej kobiety. Nie robiła nic złego, opłakując o zimnym świcie tego martwego człowieka. Nie była jedyną osobą, która tego dnia miała go opłakiwać. Za kilka godzin o wszystkim miała dowiedzieć się jego siostra, matka, bracia i cały świat, choć reszta świata nie miała dla Orsina większego znaczenia. Ale smutek tej kobiety był jakby przedsmakiem smutku Vittorii. Była tylko wieśniaczką, albo, co najwyżej, dziewczyną z klasy drobnych rolników, ale kochała go i na zawsze znienawidzi człowieka, który go zabił. O ileż bardziej za swoje martwe ciało i przelaną krew, znienawidziłby go ten, którego zabił.

Światło z wolna stawało się coraz mniej szare, a od korytarza rozległy się ciężkie kroki. Rozbrzmiało pukanie do drzwi i ukazał się żołnierz w furazerce na głowie.

– Zrobiliśmy kawę, signore – powiedział, od progu.

Wyciągnął jasną blaszaną tacę, nad którą w wonnych obłokach unosiła się para. Fizyczne wrażenie aromatycznego zapachu było pierwszym przyjemnym doznaniem, jakiego Orsino doświadczył od chwili, gdy poprzedniego popołudnia pociągnął za spust swojej strzelby. Gdybyśmy tylko mogli spojrzeć na rzeczy takimi, jakimi są, zobaczylibyśmy, że nie ma ani miłości, ani nienawiści, ani radości, ani smutku, ani nadziei, ani strachu, które w końcu przynajmniej na chwilę nie straciłyby na znaczeniu wobec głodu i pragnienia, tak samo jak to umierające ciało może zamaskować i przesłonić jego nieśmiertelną istotę.

Orsino pił gorącą kawę z poczuciem prawdziwej fizycznej rozkoszy, choć przez otwarte okno dochodziło do jego uszu zawodzenie kobiety, i chociaż chwilę wcześniej rozmyślał o tym, że skradający się świt jest początkiem dnia, który może zakończyć się dla niego złamanym sercem.

Jednak żołnierz zareagował na głos, podszedł do okna i wyjrzał. Orsino dalej pił kawę.

– Ho, tam! – zawołał szorstko. – Pójdiesz czy nie? – Odwrócił się do Orsina. – Sterczy tam od drugiej – wyjaśnił. – Słyszeliśmy ją przez zamkniętą bramę.

– Zostawcie ją w spokoju – powiedział Orsino autorytatywnie. – Jest tylko kobietą i nie robi nic złego. Ma prawo do swojej żałoby, Bóg wie.

– Będzie ich tu ze sto, zanim słońce wzejdzie na godzinę, signore – odparł żołnierz. – Ludzie zaczną się wokół niej gromadzić, bo przyjdą z ciekawości, z wielu mil. Lepiej pozbywać się ich od razu, jak tylko się pojawiają.

– Możesz wpuścić tę biedną kobietę – zasugerował Orsino. – W końcu zabiłem jej kochanka, ma prawo zobaczyć jego ciało.

– Jak sobie życzysz, signore – odpowiedział żołnierz, odkładając pusty ronderek.

Orsino wstał i wyjrzał ponownie, gdy mężczyzna odszedł. Dziewczyna podniosła się na nogi i stała wpatrzona w okno. Chusta opadła jej z powrotem na ramiona, odsłaniając młodą i rozczochraną, ale piękną głowę, w typie greckiej urody, choć oczy miała nieco podłużne i migdałowate. Oliwkowo blade policzki i rozchylone usta nie miały żadnego koloru, a ręka, która przyciskała chustę do piersi, była wyjątkowo biała. Regularne rysy twarzy układały się w tragiczną maskę smutku, jaką bardzo rzadko widuje się we współczesnym świecie.

Kiedy zobaczyła Orsina, podniosła nagle obie ręce, jak dawniej błagająca.

– Oni go zabili! – zawołała. – Zabili mojego przyszłego męża! Pozwólcie mi go zobaczyć! Pozwólcie mi go pocałować! Jak mogą nazywać się chrześcijanami i nie pozwolić mi go zobaczyć?

– Zobaczysz go – odpowiedział Orsino. – Sam cię wpuszczę.

– Bóg ci to zwróci, signore. A jego mordercy zwróci złą śmierć.

Usiadła na kamieniach, sądząc być może, że jeszcze długo będzie musiała czekać na otwarcie bramy, i znów zaczęła swoje ciche zawodzenie.

– Oni go zabili! Zamordowali go!

Lecz Orsino odszedł już od okna i opuścił pokój. Z jej słów i twarzy wyczytał jasno, że nie była zabawką, wobec której Ferdinando miał tylko przelotne plany. Miał zamiar ją poślubić, być może na przestrzeni najbliższych dni. Na twarzy malowało się jej silne piętno niewinności, a jej głos brzmiał nieustraszenie i prawdziwie. Ferdinando nigdy nie był taki jak jego bracia. Miał zamiar poślubić tę dziewczynę, niewątpliwie córkę drobnego rolnika, sądząc po jej stroju, i żyłby z nią szczęśliwie, umniejszając, być może, swój status społeczny, ale moralnie wznosząc się o wiele wyżej niż jego stale knujący bracia. Orsino domyślił się, wyczytując to z jego martwej twarzy i z tego, co słyszał, że Ferdinando był najlepszy z rodziny, i w tym na wespół barbarzyńskim kraju, jakim jest środek Sycylii, młody rzymianin nie winił go zbyt za to, że próbował stawiać opór nowym właścicielom domu jego ojca, kiedy przyszli, by go zająć.

San Giacinto i sierżant z zasady sprzeciwiali się wpuszczeniu dziewczyny, ale Orsino nalegał i w końcu sam otworzył bramę. Znów zakryła głowę i twarz, i podążyła za nim szybko i bezszelestnie przez dziedziniec do drzwi kościoła. Jakby instynktownie zwróciła się wprost do ciała kochanka, które leżało przed bocznym ołtarzem, i z niskim zawodzeniem, jak zranione zwierzę, upadła obok niego z zaciśniętymi rękami. Orsino zostawił ją tam samą, zamknął cicho drzwi i wyszedł na dwór,

gdzie było już niemal jasno jak w dzień. Mężczyźni wypili już kawę i oporządzali swoje czarne wierzchowce, przywiązane do zardzewiałych pierścieni w murze. Stare stajnie znajdowały się między dziedzińcem a wałem. Dwóch pieszych karabinierów zostało wysłanych do Santa Vittoria, po trumnę dla zmarłego i po księdza, który przyjdzie i go pochowa.

Z kościoła, co chwila dochodziło żałosne echo lamentów dziewczyny. Potem rozległo się pukanie do bramy i ktoś zawołał z zewnątrz. Jeden z żołnierzy wyjrzał przez wąską szczelinę w kamieniu, na tyle szeroką, by mogła przejść lufa karabinu. Na zewnątrz stało pół tuzina chłopów, a żołnierz dostrzegł jeszcze dwóch schodzących z podjazdu w stronę domu. Zapytał, czego chcą.

– Chcemy rozmawiać z panem – powiedział jeden, a dwóch lub trzech powtórzyło te słowa.

Byli to ludzie, którzy poprzedniego wieczoru przynieśli narzędzia, wraz z kilkoma innymi, drobnymi dzierżawcami małej posiadłości. San Giacinto poszedł i rozmawiał z nimi, zapewniając, że będzie lepszym gospodarzem niż jakiegokolwiek mieli, jeśli będą go dobrze traktować, ale jeśli spotka się z najmniejszą zdradą, wyśle każdego z nich dożywotnio na galery. Taki był jego sposób na zawarcie znajomości, a oni zdawali się to rozumieć.

W chwili, gdy mówił, na drodze pojawiło się kilku mężczyzn i kobiet, prowadzonych przez dwoje żołnierzy, których posłano do wioski. Tuż za nimi, widać było białą trumnę skąpaną w świetle poranka, kołyszącą się wraz z krokiem kurpulentnej kobiety, która cały jej ciężar niosła na swojej głowie. Potem pojawiło się więcej ludzi, i w zasięgu wzroku, patrząc w górę drogi, wciąż ich przybywało. Wśród nich szedł młody ksiądz w swojej krótkiej białej komży założonej na podniszczonej sutannie, a obok niego duży chłopiec niosący srebrny pojemnik z wodą święconą i małe kropidło. Obaj szli służobwym krokiem, a reszta głośno rozmawiała. San Giacinto odniósł

wrażenie, że musiała się zjawić połowa mieszkańców wioski. Cofnął się i krzyknął do żołnierzy, aby pilnowali bramy i nie dopuścili do wejścia tłumu. Potem czekał na zewnątrz. Ludzie zamilkli, gdy się zbliżyli, a on patrzył na nich, przyglądając się ich twarzom. Niektórzy z mężczyzn mieli broń przewieszoną przez ramię, ale wielu było robotnikami i nie mieli jej wcale.

Gdy tłum zbliżał się do bramy, San Giacinto spoglądał na nich z pogardą, spodziewając się jakichś kłopotów. Ustawiający się za nim żołnierze, mieli w rękach karabiny. Dzierżawcy Camaldoli wmieszali się w tłum, najwyraźniej nie chcąc być rozpoznanymi przez swojego nowego gospodarza.

– Czego chcecie? – zapytał San Giacinto szorstkim, rozkazującym głosem.

Ksiądz zbliżył się do niego, uklonił się i uśmiechnął, jak gdyby okazja do spotkania była przyjemna. Potem odsunął się nieco na bok, a krzepka kobieta, niosąca na głowie trumnę, wmaszerowała pod bramę między żołnierzy, robiąc jej miejsce. Za nią szedł jej mąż, mały, koślawy cieśla, niosący skórzaną torbę, z której wystawał zużyty i poczerniały trzonek wielkiego młota. Trzeci przybysz został zatrzymany przez sierżanta. Był to upiornie blady starzec, z trzydniowym, spiczastym zarostem, ubrany w zabrudzoną czerń.

– Kim pan jest? – zapytał ostro sierżant.

– Jestem tym, bez którego ludzie nie mogą zostać pogrzebani – odpowiedział starzec łamiącym się głosem. – Zawsze jest cieśla i kapłan, ale jest jeszcze trzeci człowiek – oto ja, sługa umarłych, który nie wydaje rozkazów.

Sierżant zrozumiał, że jest to przedsiębiorca pogrzebowy i przepuścił go. Tymczasem San Giacinto powtórzył swoje pytanie.

– Czego wszyscy chcecie? – krzyknął gromko, bo był zirytowany.

– Jeśli to cię zadowoli, signore Marchese – powiedział ksiądz – obecni tu, moi parafianie, pragną ciała Dona Ferdinanda Corleone, by pochować je w świętej ziemi, gdyż był on kochany przez wielu. Modlą się o Twą dobrą reakcję, Ekscelencjo, gdyż przychodzą w pokoju, dowiedziawszy się, że Don Ferdinando zginął w wypadku. Spełnij ich prośbę, która jest słuszna, a szybko odejdą. Odpowiadam za nich.

Ostatnie słowa wypowiadał tonem, który wszyscy mogli usłyszeć, zwracając się przy tym do tłumu, jakby oczekując jego zgody.

– Ksiądz mówi w naszym imieniu – powiedziało wielu z nich jednym tchem. – Tak, donie Niccola! Powiedziałeś czego chcemy. Jesteśmy chrześcijanami. Chcemy godnie pochować dona Ferdinanda.

– Nie mam najmniejszych zastrzeżeń – rzekł San Giacinto. – Wręcz przeciwnie, szanuję pańskie życzenie i żałuję tylko, że nie mam środków, aby uczynić więcej honoru pańskiemu przyjacielowi. Musi się pan tym zająć. Bądźcie łaskawi zaczekać tutaj, aż ksiądz pobłogosławi ciało.

Ksiądz i chłopiec z wodą święconą weszli do środka, a brama zamknęła się przed tłumem. W trakcie rozmowy, stolarz i jego żona wyszli na dwór. Człowiek Basiliego zaprowadził ich do drzwi kościoła i otworzył je. Kobieta wmaszerowała do środka chybotliwym krokiem, jedną rękę trzymając na biodrze, a drugą podtrzymując trumnę.

– Gdzie on jest? – zapytała donośnym, dobrodusznym głosem, bo kościół wydawał się wyjątkowo zaciemniony po porannym świetle na zewnątrz.

Odpowiedział jej cichy płacz ze stopni bocznego ołtarza, gdzie nieszczęśliwa dziewczyna leżała na wpół oparta o ciało swego kochanka, patrząc w stronę drzwi, z rosnącym przerażeniem.

Żona stolarza wydała okrzyk zdziwienia, po czym powoli obróciła swój ciężar tak, by widzieć męża.

– Pomóż mi, Ciccio – powiedziała zdecydowanie. – To zawsze jest trudne.

Mężczyzna podniósł ręce i chwycił część trumny przeznaczoną na nogi, podczas gdy jego żona uniosła również swoją połowę i stopniowo przesuwiała ciężar trumny w jego kierunku, aż złapała za jej krawędź od strony głowy. Gdy odkładali ją na podłogę, słychać było, jak zagrzechotało jej luźne wieko. Wtedy kobieta zdjęła z głowy zwinięty ręcznik, na którym opierała ciężar i rozłożyła go, wytarła czoło i spojrzała na dziewczynę z zaniepokojeniem.

– To Concetta z apteki – powiedziała, nagle rozpoznając w mroku jej blade rysy. – O, biedne dziecko! Biedne dziecko! – zawołała, pędząc naprzód, jej mąż tymczasem zdjął wieko z trumny i zaczął grzebać w skórzanej torbie w poszukiwaniu gwoździ.

Kiedy kobieta zbliżyła się do stopnia, ręce Concetty nagle zostały odrzucone ponad jej głowę, i z zeszywniałymi kończynami potoczyła się po wilgotnym chodniku, w jednym z tych dziwnych omdleń, które czasami ogarniają kobiety w chwilach silnego smutku. Żona stolarza próbowała ją podnieść i posadzić, aby ją chwycić, ale dziewczyna była tak sztywna, jakby była w transie kataleptycznym.

– Biedne dziecko! Biedna Concetta! – wykrzyknęła cicho żona stolarza.

Potem, pochylając szerokie plecy, na siłę podniosła dziewczynę, obejmując ją najpierw jedną, potem drugą ręką, aż mogła unieść cały jej ciężar. Jej mały, koślawy mąż nie zwracał na nią uwagi. W takich chwilach kobiety same zajmowały się swoimi sprawami. Wielka żona stolarza wyciągnęła dziewczynę na dwór na promienie porannego słońca, spotykając tam ekscentrycznego przedsiębiorcę pogrzebowego i księdza, rozmawia-

jących na zewnątrz. Natychmiast pojawił się San Giacinto, a za nim Orsino, który odkąd nadszedł tłum, wałęsał się po wale nad rzeką. San Giacinto z łatwością przyjął od kobiety ciało nieprzytomnej dziewczyny.

– Chodź – powiedział, niosąc ją przed sobą na rękach. – Napij się trochę wody.

Wszedł do pokoju, w którym mężczyźni spali na słomie i położył Concettę, z rękami wciąż zesztyniałymi nad jej głową. Jeden z żołnierzy przyniósł wodę w naczyniu. San Giacinto skropił zimnymi kroplami jej bladą, białą twarz, a jej rysy zdrząły nerwowo.

– Zajmijcie się nią – powiedział do kobiety. – Kim ona jest?

– To Concetta, córka dona Atanasia, aptekarza. W przyszłym tygodniu miała poślubić Dona Ferdinanda. Ale teraz, gdy go zabili, będzie zmuszona poślubić kogoś innego.

– Biedna dziewczyna! – powiedział ze współczuciem San Giacinto, odwrócił się i wyszedł.

Orsino stał przy drzwiach, zaglądając do środka, i słysząc, co mówi kobieta. Potwierdziło się to, czego domyślał się z wcześniejszych słów samej dziewczyny. Zastanawiał się, jak to możliwe, że ledwie jedna sekunda naprawdę może spowodować tak straszne szkody dla świata.

Z otwartych drzwi kościoła dobiegał odgłos miarowych uderzeń młotka. Praca została szybko wykonana i już po chwili stolarz przybijał wieko trumny. Ksiądz, który pozostał na słoncu, aby się ogrzać, zawiesił na szyi podniszczoną stułę, wziął od chłopca miednicę z wodą święconą i małe kropidło i wszedł do kościoła, aby pobłogosławić ciało, zanim zostanie zabrane.

Ponieważ nie wypadało wpuszczać tłumy, sześciu żołnierzy podniosło trumnę i wyniosło ją za bramę. Następnie chłopcy położyli ją na przyniesionym katafalku i przykryli czarną, rdzawą zasłoną. Ksiądz stanął od frontu trumny i zaczął recytować

psalmy za zmarłych. Kobiety zakryły głowy, a niektórzy mężczyźni odsłoniли swoje, zaś kilku przyłączyło się do monotonnych modłów księdza. Po kwadransie San Giacinto, obserwując od strony bramy, zobaczył, jak ostatni z ludzi znika na podjeździe. Ale żona stolarza została z Concettą.

– Kiepska sprawa – powiedział do siebie stary olbrzym, odwracając się i wchodząc do środka.